

Anulka przecierała rozespiane oczy. Eliza podniosła leżący na dywanie koc i pogłaskała dziecko po włosach. Dziewczynka zwykle spała o tej porze w przedszkolu, więc robiła to również w domu. Teraz, podczas przerwy świątecznej, na prośbę mamy Michała, jego młodszą siostrzyczką zajmowała się Eliza. Była nad wiek odpowiedzialna, dlatego świetnie sprawdzała się w roli opiekunki. Poza tym miała za nią przepadała.

Anula zasmakowała ostatnio w pączkach z pobliskiej cukierni. Były pachnące, wypełnione budyniem i pokryte chrupiącym lukrem, nic więc dziwnego, że tak je uwielbiała. Pani Tarłowa zostawiła kilka złotych na łakocie, więc Eliza ubrała ciepło Anulkę i wyszła z nią do cukierni. Zabrały ze sobą sanki, by przy okazji pojeździć w pochyłej uliczce pomiędzy sklepem optycznym a zakładem fryzjerskim.

Zjechały kilka razy, lecz po chwili niebo sypnęło gęstą chmurą białych płatków. Zapadła szarość i budynki wokół zaczęły wyglądać, jakby były pogrążone w gęstniejącej mgle.

– Idziemy do domu, Anulko – powiedziała Eliza, która poczuła się niepewnie.

Padalo coraz mocniej, więc wkrótce straciła orientację. Wszędzie, gdzie obróciła głowę, miała przed sobą ruchomą, cętkowaną śnieżynkami, białą zasłonę. Ściskając rączkę dziecka, poczuła, że ogarnia ją panika. „Co będzie, jeśli w uliczkę nagle wjedzie jakiś samochód...?” – wyobraźnia potęgowała niepewność.



Dziewczynki tkwiły w zadymce niczym w egipskich ciemnościach, tyle że śnieżnobiałych. Trudno było uwierzyć, że znajdują się w odległości dwudziestu metrów od głównej ulicy miasta. Docierały tu wprawdzie odgłosy przejeżdżających samochodów, jednakże były stłumione niczym wata i nie można było określić, skąd dochodzą.

Eliza była zupełnie zdezorientowana. „Nie mam pojęcia, w którą stronę pójść!” – rozpaczała w myślach, przytulając do siebie Anulkę. Nagle poczuła, że tuż obok jej stóp... poruszyło się z metalicznym dźwiękiem coś

dużego. Nie zdążyła mrugnąć okiem, gdy ujrzała przed sobą osobnika, który wyrósł jak spod ziemi. Wyglądał tak, jakby wylał nie ze śnieżnej dujawicy, lecz spod rynny podczas ulewy. Dosłownie ociekał wodą, kosmyki jego przydługich włosów przyklepione były do policzków, zaś mokra kurtka wisiała na nim jak łachman.

– Któreśy do jeziora? – spytał, szeroko ziewając. I od razu dodał: – Zresztą, nieważne... – i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

